

Z Prezesem POLI-ECO Marią Ćwiklik-Konofalską rozmawia Ewa Szatkowska

Ewa Szatkowska - Jesteś Prezesem Firmy, która w tym roku zdobyła **drugie** miejsce w rankingu przedsiębiorstw najdynamiczniej rozwijających się. To także Twój sukces?

(pierwsze w ubiegłym roku)

Maria Ćwiklik-Konofalska - Tak, cieszyłam się bardzo z tego zwycięstwa. To zresztą nie jedyne nasze osiągnięcie. Chcę pochwalić się również pierwszym miejscem w województwie lubuskim w 3 edycji rankingu przygotowanego przez firmę Dun& Bradstreet Poland dla Gazety Bankowej. Otrzymanie ratingu 3A1 to powód do dumy.

Ewa S. - Można zdecydowanie powiedzieć, że jesteś kobietą sukcesu. Jak wyglądała Twoja osobista ścieżka kariery?

Maria Ć-K. - Zaczynałam jak typowa matka Polka. Skończyłam studia prawnicze, wyszłam za mąż. Mieszkaliśmy początkowo we Wrocławiu, w wynajętym mieszkaniu, mąż był lekarzem i tam pracował. To były lata osiemdziesiąte, było więc trochę polityki, żyliśmy tym, jak wszyscy, były też trudności dnia codziennego. Ja pochodzę z Kozuchowa, zawsze chciałam tam wrócić. Zresztą po intensywnie przeżywanych latach studiów, pojawiła się w nas potrzeba pewnej stabilizacji a ona wiązała się przede wszystkim z mieszkaniem.

Podjęliśmy decyzję o powrocie w moje rodzinne strony a los pokierował nami dalej. Obiecanego mieszkania w Kozuchowie na razie nie było, za to pojawił się Broniszów. To zaledwie kilkanaście kilometrów dalej. Znajdował się tam Ośrodek Zdrowia, nad nim było mieszkanie, szukano właśnie lekarza. Zdecydowaliśmy się natychmiast. Do dzisiaj tam mieszkamy.

Przez pierwsze lata nie pracowałam, zajmowałam się córkami, byłam tzw. panią doktorową. To było dla mnie trudne, ale miło wspominam te czasy. Przyjeżdżali nasi znajomi, również z dziećmi, było zgrzebnie, ale radośnie. Ten okres w moim życiu trwał do początku lat dziewięćdziesiątych. Wyżywałam się w domu: dzieci, goście, obiadki, przetwory. Byłam Ministrem Spraw Wewnętrznych, jak to żartobliwie z mężem nazywaliśmy. On był oczywiście Ministrem Spraw Zagranicznych. Tylko, że z moim temperamentem zaczęłam mieć dosyć poruszania się w tej samej bajce.

W 1989 roku, kiedy przyszły pierwsze demokratyczne wybory – pojawiła się dla mnie szansa. Szukano ludzi, którzy chcieliby się zaangażować po właściwej stronie. My nigdy nie kryliśmy swoich poglądów. I nie wiedzieć nawet, kiedy, w naszym domu powstało coś na kształt centrum, miejsca, gdzie spotykali się ludzie, dyskutowali, tworzyli wizję przyszłej demokracji. Ktoś, już nawet nie pamiętam, kto, zdaje się Maciej Jankowski, wytypował mojego męża do wyjazdu z ramienia Rady Europy do Holandii jako obserwatora wyborów. To był przełom. Mąż został radnym, zajęliśmy się wspólnie działalnością społeczną. Założyliśmy Stowarzyszenie Rozbudowy Szkoły w Broniszowie: wykorzystując nawiązane w międzyczasie kontakty a także autentyczny zapał członków Stowarzyszenia udało się nam cel zrealizować.

Ewa S. - Czy działalność społeczna Tobie wystarczała?

Maria Ć-K. - Ja zaczęłam szukać swojego miejsca dla siebie. Chciałam pracować. Krokiem przełomowym była praca w Urzędzie Miasta i Gminy w Kozuchowie. Zostałam naczelnikiem Wydziału Oświaty, Kultury i Zdrowia. Największy opór stawiał wówczas oczywiście mój

mąż. Nagle zniknęłam z domu. To mu się nie podobało. Nie chciał dzielić swojej teki Ministra Spraw Zagranicznych ze mną. Ale ja byłam uparta. W 1992 roku dostałam ofertę pracy w Zielonej Górze. Zaproponowano mi stanowisko zastępcy dyrektora Wojewódzkiego Urzędu Pracy. Tam pracowałam 5 lat. To był okres budowania, tworzenia nowych struktur administracyjnych. Trzeba było wykazać się kreatywnością, pomysłowością. Ale ja miałam w sobie tyle energii i zapału, że nie stanowiło to dla mnie żadnego problemu. Zarzucano mi nawet, że zarządzam i działam jakbym pracowała w przedsiębiorstwie, nie w administracji.

Po paru latach pracy, kiedy zapanowała wokół mnie mała stabilizacja, zaczęło mnie znowu nosić. Przyszedł zresztą w moim życiu taki moment, pewne traumatyczne przeżycia, które spowodowały, że pewnego dnia zmieniłam swoje życie zawodowe. Czytałam o takich historiach. Ludzie, którym się to przydarzyło, robili wolnę, zmieniali optykę. U mnie stało się podobnie.

Ewa S. - Porzuciłaś stanowisko, pewną pracę, niezłe wynagrodzenie?

Maria Ć-K. - Zrozumiałam, że muszę liczyć przede wszystkim na siebie. Zaczęłam szukać takiej pracy, która da mi niezależność. Nie miałam kapitału, który pozwoliłby mi na założenie prywatnej firmy. Szukałam więc czegoś innego, No i pewnego dnia znalazłam w Gazecie Wyborczej ogłoszenie, że do Polski wchodzi ING Nationale Nederlanden. Złożyłam swoje aplikacje. To były początki ekspansji zagranicznych firm finansowych i ubezpieczeniowych do Polski.

Przeszłam rekrutację, powierzono mi utworzenie oddziału w Zielonej Górze. Zrezygnowałam z poczucia bezpieczeństwa i wygody, jaką miałam w Urzędzie Pracy na rzecz wynagrodzenia prowizyjnego, gdzie wszystko zależy ode mnie. Pomyślałam, dlaczego miałyby mi się nie udać?

To był okres w moim życiu, kiedy musiałam dać z siebie wszystko. W krótkim czasie oddział w Zielonej Górze był jednym z najlepszych w kraju. Wspaniali ludzie, wspaniałe wyniki, dobrze wspominam tamte lata. Nauczyłam się wówczas dużo. Przede wszystkim konsekwencji w działaniu. Ale także pracy z ludźmi, którymi zarządzałam, ich motywowania, rozliczania. Firma organizowała wiele szkoleń bardzo profesjonalnych, chętnie chłonełam nowe doświadczenia, moja energia znalazła ujście. W tamtym okresie rozwijałam się bardzo osobiście.

Ewa S. - Ale przyznasz, to było ryzykowne, ta ówczesna Twoja praca? Rynek w Polsce był trudnym rynkiem?

Maria Ć-K. - Oczywiście, traktowałam to jako wielkie wyzwanie, nigdy nie wiedziałam ile zarobię, w dodatku praca była bardzo intensywna, wiele wyjazdów, musiałam to godzić z prowadzeniem domu, wychowywaniem dzieci. Pod względem organizacyjnym byłam zawsze perfekcyjna, ale koszty emocjonalne były nie do uniknięcia. Kiedyś, moje, już dorosłe, córki opowiedziały mi, że kiedy mnie długo nie było, otwierały szafę z moimi ubraniami i wdychały mój zapach. Wtedy, przyznając, ścisnęło mnie za gardło. Nieraz zadawałam sobie pytanie, na ile byłam dobrą matką.

Ewa S. - I jak brzmiała odpowiedź?

Maria Ć-K. - Teraz wiem, że tak. Mam z córkami cudowny kontakt. Jestem z nich bardzo dumna. Są odpowiedzialne i samodzielne. Starsza Nina obroniła w tym roku dwa dyplomy: kulturoznawstwo i psychologię. Teraz kontynuuje podyplomowe studia, wybrała seksuologię, rozgląda się za pracą. Nina, podobnie jak ja wcześniej, chce wrócić do Zielonej Góry. Młodsza córka, Ula, jest na III roku medycyny. Obydwie studiują w Poznaniu. Próbuję wyczulić je na sprawę niezależności finansowej, uważam, że to właśnie ona decyduje o wolności osobistej. Do mojej rodziny należy także syn męża z pierwszego małżeństwa. Mamy i zawsze mieliśmy cudowne relacje, a moje córki i Marcin mają w sobie wsparcie. Marcin jest adwokatem, mieszka w Opolu, jest żonaty i **bardzo często** przyjeżdża razem z żoną do Broniszowa.

Ewa S. - Jak to się stało, że zostałam Prezesem takiej dużej, produkcyjnej firmy?

Maria Ć-K. - Właściciela Firmy, Krzysztofa Szamańskiego, poznałam przed laty pracując w Urzędzie Pracy. To były krótkie, służbowe, konkretne spotkania. Kiedy zmieniałam pracę, wpadał czasami na kawę do siedziby Oddziału. Był dla mnie zawsze przykładem zdecydowania, determinacji, potrafił mnie motywować. Widziałam, co robi, obserwowałam jak rozwija się jego firma. Jemu z kolei imponował pewnie mój upór, dynamizm, był świadkiem mojego zawodowego rozwoju. Widział jak w zielonogórskim Oddziale Nationale Nederlanden przybywa na ścianach dyplomów i nagród. Nieraz wzdychając, żałował, że nie mam ekonomicznego wykształcenia.

Ewa S. - W końcu okazało się ono niepotrzebne?

Maria Ć-K. - To był impuls. W zasadzie miałam wszystko poukładane. Oddział stabilny. I nagle jak w ping pongu krótka piłka: jego propozycja: przyjdź do mnie do pracy i moja zdecydowana odpowiedź: dobrze. Dopiero jak wyszedł złapałam się za głowę. Ale poszłam za ciosem.

Ewa S. - Kiedy to było?

Maria Ć-K. - To był początek 2004 roku. Pierwsze miesiące siedziba Firmy była w Szprotawie. To dopiero było wyzwanie! Nigdy do tej pory nie miałam kontaktu z firmą produkcyjną. To był także szok, nazwijmy go, kulturowy. Pracowałam dotychczas w pewnych standardach, wiadomo, kultura, procedury, i nagle znalazłam się w samym środku ludzi zatrudnionych na stanowiskach produkcyjnych, którzy nie tracili czasu na zbędne, ich zdaniem, uprzejmości. Firma tak szybko się rozwijała, że za produkcją nie nadążała organizacja. Tak, więc kolejny raz zakasałam rękawy, podjęłam wyzwanie, zaczęłam tworzyć pewne standardy, to był prawdziwy sprawdzian organizacyjny. Uczyłam się nowych dla siebie rzeczy od początku. W maju 2004 roku przeprowadziliśmy się do Żar. Firma nadal rozwijała się niesłychanie dynamicznie, rozszerzaliśmy produkcję, rynki zbytu, realizowaliśmy kolejne pomysły.

Ewa S. - Jak dzisiaj, po paru latach Twojego zarządzania wygląda Poli Eco?

Maria Ć-K. - Ciężka, systematyczna praca przynosi efekty. Firma ma wspaniałe wyniki, w każdym roku następuje duży wzrost dochodów, utrzymywana jest rentowność. Ale zdajemy sobie sprawę z pewnych niebezpieczeństw. Aby dalej Poli Eco się rozwijało muszą pojawiać się nowe pomysły, **nowe inwestycje...** W grę nie wchodzi parę milionów, ale **już** dziesiątki. Wzrasta ryzyko inwestycyjne. Jeśli Firma dynamicznie się rozwija to wymusza pewne działania, konieczność nowych inwestycji. Tak zapadła decyzja o założeniu firmy w Rosji. Myślmy też o inwestycji po stronie niemieckiej.

Bardzo dużo inwestujemy w nowoczesne linie technologiczne i rozbudowę zakładu. Działamy na trudnym rynku, konkurencja zmusza nas do najwyższej dbałości o każdy detal. Trzeba być najlepszym. Stąd też poszukiwanie innych płaszczyzn, co zwiększa bezpieczeństwo. Jesteśmy ostrożni, czujni i przewidujący. Przecież nawet giganci upadali.

Ja mam już niemal we krwi, że kiedy wszystko się świetnie toczy, rozglądam się za niebezpieczeństwem.

Ewa S. – Przedsiębiorstwem zarządzacie wspólnie. Jak podzieliliście między siebie obowiązki?

Maria Ć-K. - Krzysztof jest strategiem, buduje relacje z najważniejszymi klientami. Ja zajmuję się organizacją, bieżącym zarządzaniem, realizacją planów i celów, które sobie wyznaczamy. Nasze umysły muszą nieustannie pracować. Nie wyobrażam sobie, że mogłoby być inaczej. Dużą rolę odgrywa ambicja, pęd do rozwoju. Nie dopuszczam do siebie myśli, że mogłoby się nam nie udać. Oczywiście jest wiele różnych problemów, przeszkód, które trzeba pokonywać. Pracuję dużo, 14 -15 godzin dziennie. Jest to prosta konsekwencja swoich wyborów. Skoro w to weszłam, jestem za to coś odpowiedzialna. Miałam dwa trudne momenty, kiedy chciałam odejść. Ale zacisnęłam zęby, postanowiłam, przede wszystkim sobie, udowodnić, że dam radę. Poza tym czuję odpowiedzialność za ludzi, za załogę.

Ewa S. - Za to sobota i niedziela jest dla Ciebie?

Maria Ć-K. - W soboty się uczę. Kierując taką dużą Firmą muszę być na bieżąco ze wszelkimi zmianami w polskim ustawodawstwie, przepisach finansowych, czytam też literaturę dot. nowoczesnego zarządzania. Człowiek musi przez całe życie się rozwijać. Inaczej będzie się cofał.

Ewa S. - Co myślisz o najnowszym pomysle właściciela Poli Eco? Mówię oczywiście o festiwalu piosenki rosyjskiej.

Maria Ć-K. - Przychodzi taki moment w biznesie, że chce się robić coś dla kogoś, to naturalny rozwój. Bardzo się cieszę, że Krzysztof postanowił coś zrobić dla tzw. społeczności. Na małą skalę mamy pewne doświadczenia. Co roku organizujemy dla naszej załogi i **Klientów** imprezy integracyjne. Robimy to z wielkim rozmachem. Nie boimy się wyzwań. Teraz dojrzeliliśmy do tego, aby nasze działania nie związane z produkcją objęły region, kraj, naszych sąsiadów. Właściwie jest to impreza Krzyśka, ja „dłubię” codzienność, ale wiadomo, że trudno mi będzie stać z boku.

Ewa S. - Czy czasami zaglądasz w przyszłość, zastanawiasz się, co dalej? A może tutaj odnalazłaś swoje miejsce zawodowe już na stałe?

Maria Ć-K. - Moja kariera zawodowa dziwnie się układa. Teraz, kiedy oglądam się za siebie, zauważam, że co 5 lat wykonuję pewną wolte, następuje zwrot w moim życiorysie zawodowym, przychodzą nowe wyzwania.

Nie wiem, jakiego psikusa los mi jeszcze wytnie, przed jakim kolejnym zadaniem mnie postawi. Do Poli Eco wniosłam wiele z siebie. Nowe standardy, organizację, pewne niezmiennie wartości, którymi zawsze się w życiu kieruję. Przekładam je na prace z ludźmi: uczciwość, rzetelność, odpowiedzialność i zaangażowanie to moje drogowskazy.

One mnie motywują i dzięki nim rozwijam swoją pomysłowość w zakresie wykorzystywania szans, jakie przed firmą stoją. Mój wkład w rozwój firmy jest zresztą bardzo konkretny, przeliczalny. Osobiście pisałam aplikacje do programów unijnych, siedziałam nad tym w czasie wolnym, w soboty albo wręcz nocami, to była bardzo żmudna praca. Ale udało się. Na rozwój firmy uzyskaliśmy dotychczas ze środków unijnych prawie 20 milionów zł. To jest też świadectwo tego, jak bardzo Firma jest ekonomicznie sprawna, silna. Nie dostają takiej szansy małe, słabe przedsiębiorstwa.

Marzy mi się, zanim odejdę z Poli Eco, żeby to była nowoczesna Firma z nowoczesną infrastrukturą, taka, która będzie spełniała europejskie standardy. Jeśli stąd kiedykolwiek odejdę, zostawię Poli Eco w pełnym rozkwicie. Zawsze tak odchodziłam z poprzednich firm. Muszę zamknąć pewne etapy do końca.

A teraz w Poli Eco dzieje się wiele ciekawych rzeczy. Kończymy właśnie budowę wielkiego magazynu, przymierzamy się do budowy nowoczesnej hali produkcyjnej.

Jeśli mówimy o strategii rozwoju firm: w teorii istnieje pojęcie błękitnych oceanów. Chodzi o to, że firma wchodzi na rynek z innowacyjnym produktem i to pozwala jej na dynamiczny rozwój. Sztuka polega na tym, aby tam popłynąć i wrócić. Do tego dążę.

Ewa S. - Czy jesteś szczęśliwa, czy masz poczucie spełnienia?

Maria Ć-K. - Na bilans może jeszcze za wcześnie, ciągle mam w sobie wiele energii, zapału i ... marzeń. Czasami zastanawiam się, co jeszcze przyjdzie mi w życiu „budować”. Ale teorię błękitnych oceanów przekładam także na swoje życie zawodowe i prywatne. Nie można się stale nakręcać. Z tych podróży trzeba wracać.